

1

*Zbiry mi dają po pysku
Zmiotłbym ich, gdybym mógł
Śmiertelność jest nie teges*

MAM NA IMIĘ APOLLO. Niegdyś byłem bogiem.

Przez cztery tysiące sześćset dwanaście lat życia sporo dokonałem. Zesłałem zarazę na Greków oblegających Troję. Dałem Babe'owi Ruthowi trzy home runy w czwartym meczu World Series w 1926. Objawiłem mój gniew Britney Spears podczas gali MTV Video Music Awards w 2007. Ale przez całe swoje nieśmiertelne życie nigdy nie wylądowałem w kontenerze na śmieci.

Nie bardzo nawet wiem, jak do tego doszło.

Po prostu obudziłem się, spadając. Wieżowce wirowały mi przed oczami. Moje ciało otaczały płomienie. Usiłowałem lecieć. Próbowałem zamienić się w chmurę albo teleportować na drugą stronę świata, albo zrobić którąś z miliona innych rzeczy, z których zrobieniem nie powinienem mieć kłopotu, a jednak dalej tylko spadałem. Trafiłem w wąski przesmyk między dwoma budynkami i BUM!

Czy istnieje na świecie coś smutniejszego niż dźwięk wydawany przez boga uderzającego w stertę worków ze śmieciami?

Leżałem, jęcząc z bólu, w otwartym kontenerze. Nozdrza palił mi smród nieświeżego sosu bolońskiego i zużytych pieluch.

Miałem wrażenie, że połamałem żebra, choć to nie powinno być możliwe.

Mózg gotował mi się od natłoku myśli, ale jedno wspomnienie wciąż wypływało na powierzchnię – głos mojego ojca Zeusa, mówiącego: „TWOJA WINA. TWOJA KARA”.

Pojałem, co się ze mną stało, i zapłakałem z rozpaczy.

Nawet dla boga poezji, którym jestem, opisanie, jak się czułem, stanowi problem. Jak więc możecie wy – zwykli śmiertelnicy – choćby próbować to zrozumieć? Wyobraźcie sobie, że ktoś pozbawił was ubrania, a następnie wychłostał strumieniem wody ze szlauchu na oczach rozbawionej gawiedzi. Wyobraźcie sobie, że lodowata woda wypełnia wasze usta i płuca, jej ciśnienie tłucze w waszą skórę, zamieniając stawy w galarete. Wyobraźcie sobie poczucie bezsilności, wstydu i całkowitej bezbronności – publiczne brutalne odarcie ze wszystkiego, co czyni was sobą. Moje upokorzenie było gorsze.

„TWOJA WINA”, grzmiał w mojej głowie głos Zeusa.

– Nie! – krzyknąłem rozpaczliwie. – Nie, nie moja! Proszę!

Nikt mi nie odpowiedział. Po obu stronach przemykały zardzewiałe drabinki przeciwpożarowe na tle ceglanych ścian. Nade mną rozciągało się szare i bezlitosne zimowe niebo.

Usiłowałem przypomnieć sobie szczegóły wyroku. Czy ojciec powiedział mi, jak długo potrwa kara? I co mógłbym zrobić, by odzyskać jego łaskę?

Pamięć była zbyt rozmyta. Ledwie przypominałem sobie, jak wyglądał Zeus, nie miałem więc pojęcia, dlaczego postanowił zesłać mnie na ziemię. *Była jakaś wojna z gigantami*, pomyślałem. Bogowie zostali zaskoczeni, skompromitowani, prawie pokonani.

Jednego byłem pewny: moja kara była niezasłużona. Zeus potrzebował kozła ofiarnego, więc oczywiście wybrał najprzystojniejszego, najbardziej utalentowanego i najpopularniejszego boga z całego panteonu – mnie.

Leżałem na górze śmieci, wpatrując się w naklejkę na wewnętrznej stronie wieka kontenera: „WYWÓZ ŚMIECI” i numer telefonu.

Zeus zmieni zdanie, powtarzałem sobie. Chce mnie tylko nastraszyć. Lada moment zabierze mnie z powrotem na Olimp i pozwoli odejść z ostrzeżeniem.

– Tak... – Mój głos zabrzmiał głucho i rozpaczliwie. – Właśnie tak.

Usiłowałem się poruszyć. Zamierzałem znajdować się w pozycji stojącej, kiedy Zeus zjawi się z przeprosinami. Żebra mnie bolały. Żołądek miałem ściśnięty. Chwyciłem się krawędzi kontenera i zdołałem się na nią wciągnąć, ale przeleciałem na drugą stronę i wylądowałem na ręce, która trzasnęła w zetknięciu z asfaltem.

– Auaaa! – jęknąłem z bólu. – Wstawaj. Wstawaj.

Podniesienie się na nogi nie było łatwe. W głowie mi się kręciło. Omal nie zemdlałem z wysiłku. Stałem w ślepym zaułku. Jakieś dwadzieścia metrów dalej jedyne wyjście otwierał się na ulicę z ponuro wyglądającymi witrynami biura kuratora sądowego i lombardu. Domyślałem się, że to jakieś miejsce po zachodniej stronie Manhattanu, może Crown Heights na Brooklynie. Zeus chyba naprawdę był na mnie wściekły.

Obejrzałem swoje nowe ciało. Byłem białym nastolatkiem ubranym w tenisówki, niebieskie džinsy i zieloną koszulkę polo. Totalna porażka. Czułem się chory, słaby i tak bardzo, bardzo ludzki.

Nigdy nie zrozumieję, jak wy, śmiertelnicy, potraficie z tym żyć. Jesteście przez cały czas uwięzieni w worku z mięsa, niezdolni do przeżywania tak zwyczajnych przyjemności jak zmiana w kolibra albo rozplynięcie się w czyste światło.

A teraz, o niebiosy, zostałem jednym z was – kolejnym workiem mięsa.

Pogrzebałem w kieszeniach spodni, w nadziei że znajdę tam kluczyk do rydwanu słońca. Nic z tego. Znalazłem jedynie tani plastikowy portfel zawierający sto dolarów amerykańskich – zapewne w sam raz na drugie śniadanie pierwszego dnia w skórze śmiertelnika – a poza tym prawo jazdy wydane przez stan Nowy Jork. Widniało na nim zdjęcie głupkowato wyglądającego nastolatka z kręconymi włosami, który nie mógł być mną, oraz imię i nazwisko: Lester Papadopoulos. Okrucieństwo Zeusa nie zna granic!

Zajrzałem do kontenera, tym razem w nadziei że może na ziemię spadły wraz ze mną moje łuk, kołczan i lira. Może choćby harmonijka ustna. Ale nie było nic.

Wziąłem głęboki oddech. *Wyluzuj*, pomyślałem. Musiałem zachować jakieś boskie zdolności. Mogłoby być gorzej.

Nagle rozległ się chrapliwy głos:

– Ej, Cade, zobacz tę ofertę.

W wejściu w zaułek stali dwaj młodzieńcy: jeden krępy o platynowych włosach, drugi wysoki i rudy. Obaj mieli na sobie obszerne bluzy z kapturami i luźne spodnie. Ich szyje były pokryte zawijasami tatuaży. Brakowało im tylko słów: „JESTEM OPRYCHEM” wypisanych wyraźnym pismem na czołach.

Rudy utkwił wzrok w portfelu, który trzymałem w ręce.

– E no, bądź miły, Mikey. Ten koleś wygląda przyjacielsko. – Wyszczrzył się i wyciągnął zza pasa nóż. – W sumie mogę się założyć, że chce nam oddać całą swoją kasę.

Za to, co nastąpiło zaraz potem, winię moją dezorientację.

Wiedziałem, że odarto mnie z nieśmiertelności, ale nadal uważałem się za potężnego Apollina! Zmiana sposobu myślenia nie jest tak łatwa jak, powiedzmy, przemiana w śnieżną panterę.

A poza tym kiedy wcześniej Zeus karał mnie zamianą w śmiertelnika (tak, zdarzyło mi się to już dwa razy), zawsze

zachowywałem niezwykłą siłę i przynajmniej część moich boskich mocy. Założyłem, że to samo dotyczyło tej sytuacji.

Nie zamierzałem pozwolić tym młodocianym śmiertelnym rzezimieszkom przywłaszczyć sobie portfela należącego do Lestera Papadopoulosa.

Wyprostowałem się, oczekując, że moja królewska postawa i boska uroda wprawią Cade'a i Mikeya w przerażenie. (Tych właściwości nie da mi się przecież odebrać, cokolwiek by o tym mówiło zdjęcie w moim prawie jazdy). Staralem się nie myśleć o ciepłym soku owocowym ze śmietnika spływającym mi po plecach.

– Jestem Apollo – oznajmiłem. – Macie trzy możliwości, śmiertelnicy: złożyć mi hołd lub daninę albo ulec zagładzie.

Chciałem, by moje słowa poniosły się echem w zaułku, wstrząsnęły wieżami Nowego Jorku i sprawiły, że z nieba zacznie się sypać dymiący gruz. Nic takiego się nie wydarzyło. Przy słowie „zagładzie” głos mi się załamał.

Rudy Cade wyszczerzył się jeszcze bardziej. Zastanawiałem się, jak zabawne byłoby, gdybym mógł ożywić węża wytatowanego na jego szyi i zmusić go do uduszenia właściciela.

– Co o tym sądzisz, Mikey? – zapytał kumpla. – Złożymy temu koleśowi hołd?

Mikey skrzywił się. Jego szczeciniaste blond włosy, okrutne małe oczka i masywna sylwetka przypominały mi potworną maciorę, która terroryzowała wioskę Krommyon w dawnych dobrych czasach.

– Nie mam ochoty na hołd, Cade. – Jego głos brzmiał jak głos kogoś, kto żywi się zapalonymi papierosami. – Jakie są pozostałe opcje?

– Ucieczka? – zapytał Cade.

– Nieee – odparł Mikey.

– Nasza zagłada?

Mikey prychnął.

– A może to my byśmy go jednak zgładzili?

Cade podrzucił nóż i złapał go za rękęjść.

– Przeżyję to jakoś. Ty przodem.

Wsunąłem portfel z powrotem do tylnej kieszeni spodni. Uniosłem pięści. Nie uśmiechała mi się perspektywa zamienienia śmiertelników w gofry, ale byłem przekonany, że potrafię to zrobić. Nawet osłabiony powinienem być silniejszy od każdego człowieka.

– Ostrzegalem was – powiedziałem. – Moja moc jest dla was nie do pojęcia.

Mikey strzelił palcami.

– Aha.

I ruszył do przodu.

Kiedy tylko znalazł się w zasięgu moich pięści, uderzyłem. Włożyłem w ten cios cały swój gniew. To powinno wystarczyć, żeby wyparować Mikeya, pozostawiając jedynie cień w kształcie bandziora na asfalcie.

Zamiast tego on uchylił się, co mnie niezłe zirytowało.

Zrobiłem krok do przodu. Muszę przyznać, że kiedy Prometheus ulepił was, ludzi, z gliny, wykonał marną robotę. Ludzkie nogi są niezdarne. Usiłowałem to nadrobić, korzystając z moich nieskończonych zasobów zwinności, ale Mikey kopnął mnie w plecy. Upadłem na swą boską twarz.

Nos napęczniał mi jak poduszka powietrzna. W uszach mi strzeliło. Usta miałem pełne metalicznego smaku. Z jękiem przewróciłem się na plecy i ujrzałem nad sobą gapiących się na mnie dwóch rozmazanych bandziorów.

– Mikey – odezwał się Cade – pojmujesz moc tego gościa?

– Nie – odparł Mikey. – Nijak jej nie pojmuję.

– Głupcy! – wycharczałem. – Zniszczę was!

– Ta, jasne. – Cade odrzucił nóż. – Ale chyba najpierw my cię rozdepczemy.

Cade uniósł but nad moją twarz i zapadła ciemność.